

**NORBERT  
GÓRA**

**HASHTAG#**



**NORBERT  
GÓRA**

**HASHTAG#**

© Copyright by  
Norbert Góra & e-bookowo  
Grafika na okładce: adrianismyname  
deviantart.com  
Projekt okładki:  
Norbert Góra

ISBN 978-83-7859-258-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2013

*Trzeba wiedzieć, że znaki są czymś osobistym.*

*Większość ludzi niestety w ogóle ich nie zauważa, chociaż towarzyszą nam na każdym kroku. Każde zaskakujące zjawisko, które jest niezwykle dla danej chwili lub miejsca, niechybnie jest znakiem.*

*Pozostaje tylko pytanie, jak go odczytać, ale każdy powinien zrobić to na swój sposób. Większość uważa, że najważniejsza jest pierwsza myśl, która przychodzi wtedy do głowy, choć czasami trzeba na nią nieco poczekać.*

**Dariusz Chwiejczak**

## 1

Jason Clowe stał przy otwartym oknie i patrzył na ulicę, która łączyła się z pobliskim parkiem.

Setki ziemskich istnień poruszało się tą betonową drogą teraz, pod jego okiem.

Młoda kobieta popychająca bordowy wózek dziecięcy, ze zmęczoną twarzą i potarganymi, rudymi włosami, idąca gdzieś przed siebie. Wysoki, przystojny i szczupły mężczyzna w grafitowym garniturze, ze skórzaną, czarną teczką w ręce, który akurat rozmawiał przez telefon komórkowy i mocno gestykulował, jak gdyby starał się komuś wytłumaczyć, jak należy prowadzić samochód. Wskutek swojej nieuwagi, zupełnie niechcący, wpadł na starszego mężczyznę stojącego przy stalowych kratkach, odgradzających park od zatłoczonej ulicy, czytającego najnowsze wydanie *New York Timesa*. Siwowłosego człowieka w beżowym prochowcu i okularach na nosie, zdobionych grubymi, czarnymi oprawkami, odepchnął mężczyznę w garniturze. Jason, z układu ust nieznanego, które wykrzywiły się w niesamowitej furii, rozpoznał słowa w stylu „**jak łazisz, łamago?**”. W jego oczach królowała

nienawiść do, jakby ów elegancki, młody człowiek zabił rodzinę starszego mężczyzny, a ich ciała porozwieszał po całym mieście, podpisując się pod tym nogami i rękami.

Skąd w ludziach tyle agresji, pomyślał Clowe i oderwał swój wzrok od spacerowiczów, przechadzających się po ulicy. Patrzył teraz, zupełnie bez wyrazu, na zieleniejący w świetle słońca park. Intensywność zieleni przyprawiała Jasona o zawrót głowy, hipnotyzując go wygięciami starych, spróchniałych gałęzi, jak gdyby to były człowiecze ręce, uwodzące swoją ofiarę w takt nieokiełznanych, dzikich ruchów. Coś sprawiało, że nie mógł oderwać wzroku od parku. Przez moment utracił z oczu cały, jasny kolor tego miejsca. Otoczony był pustką, bezkresną ciemnością. Dusił się powietrzem, którym oddychali wszyscy przechodnie. Głośno kaszłał, ale wydawało się, że nie może nabrać nawet najmniejszego oddechu. Dopiero po dłuższej chwili zamknął okno i zdał sobie sprawę, że do jego nozdrzy dociera charakterystyczny, ostry zapach benzyny. Zza szyby usłyszał stukot dużych, twardych i piekielnie czarnych opon, ugniatających nawierzchnię pod naporem własnej masy. Ogromny, czerwony tir przejechał pod jego domem z zatrważającą prędkością. Jason

zastanawiał się, czy określenie „zatrważająca” byłoby odpowiednim dla tego masywnego ogra w metalowej zbroi. W porównaniu z intensywnością, z jaką pędził ów stalowy diabeł, rozpalany piekielnym gorącym silnika, struś pędziwiatr – cel kojota ze znanej kreskówki – byłby jedynie powolnym, starym żółwiem w jasnozielonej skorupie i to jeszcze znajdującym się na autostradzie, gdzie różnokolorowe diabły są w stanie poruszać się zdecydowanie szybciej.

Clowe doskonale wiedział, że burmistrz zabronił poruszania się po tutejszych drogach tirom. Kogo jednak obchodził, w wieku bezprawia i legalnego posiadania broni – uprawniającej do zabijania kogokolwiek, kto na ciebie krzywo spojrzy – kodeks jakichkolwiek praw, jeśli czas oznaczał pieniądź. Większa prędkość to krótszy czas. Krótszy czas równa się zdecydowanie większemu zarobkowi. Jason domyślał się również, że burmistrz sam może być zamieszany w odwracanie uwagi od nielegalnych tirów, zanieczyszczających swoim, groźnym dla środowiska, paliwem lokalną florę i przyczyniających się do gwałtownej degradacji fauny.

W dobie, gdy zielone, papierowe banknoty zastąpiły ludziom mózg, a kilkucentowe monety zaszywały usta, nie istniały ogólnie przyjęte reguły, poza jedną, którą znał na pamięć.

**„W dwudziestym pierwszym wieku jedyną regułą jest brak reguł”.**

Wszelkie komentarze były zbędne, myślał Clowe. Po kilku, nieudanych próbach, zdołał wreszcie nabrać haustu świeżego powietrza i odetchnąć. Przy okazji jego ciałem wstrząsnął dreszcz, na myśl o gwałtownej śmierci z powodu braku tlenu. Trudno o tragiczniejszą agonię. Odwrócił swój wzrok od okna i rozejrzał się po niedużym salonie. Liliowy, uspokajający kolor ścian był pomieszany z intensywnością morskiej bryzy, uwielbianą przez Jasona bez względu na porę roku.

Nieopodal okna znajdował się niewielki, dębowy stolik – antyk, na którym leżała

biała, pustka kartka i zielony, dobrze zatemperowany ołówek. Jason, ze wszech miar, chciał napisać wiersz. Kochał twórczość. Ona go uspokajała. Otulała jedwabnym, kremowym kocem wrażliwości skołatanę nerwy, zwilżała suchą i twardą glebę w postaci psychiki, pozwalając na głęboki, intelektualny wypoczynek. Obfity w różany potok słów, magnoliowy zalew doznań i skąpanie się



w tulipanowych płatkach emocji. Podszedł powolnym krokiem do stolika, delikatnie stąpając po sosnowych klepkach. Odsunął ciemne, dębowe krzesło, idealnie dopasowane do antyku i usiadł na nim. Chwyił w rękę ołówek i zbliżył rysik do pustej, białej kartki. Wiersz o polityce? Za dużo razy musiałby użyć okropnych przekleństw. Jason, pracując na policji, doskonale wiedział, że wymiar sprawiedliwości był jedynie bezwolnym organem, za którego sznurki pociągają przedstawiciele rządu. Nieokiełznany busz afer, łapówek i katastrof. Potok nienawiści, oskarżeń, wyznań z pogranicza prawdy i kłamstwa. Rolą polityki było przykrycie nieświeżego, wręcz cuchnącego i trującego tortu warstwą intensywnej, zabijającej smród czekolady. Wszystko po to, żeby nieświadome społeczeństwo poczuło rozpływający się w ustach smak tej pyszności, poprawiającej humor. Nie było istotne, iż każdy, kto posilił się tym tortem, skończy w toalecie, wstrząsany dreszczami rewolucji żołądkowych z powodu składników.

Wiersz o przyrodzie? To bez sensu. Ziemia zbliża się ku końcowi swojego istnienia. Coraz więcej fauny

było zagrożone wyginięciem. Jednak wynajmowani przez dzianych milionerów kłusownicy wciąż polują na rzadkie okazy zwierząt, nie licząc się z konsekwencjami swoich decyzji. W telewizyjnych raportach wzrastała liczba zagrożonych gatunków, a te, które wcześniej były objęte ochroną, odeszły w zapomnienie dzięki ludzkim interwencjom.

Jason przypomniał sobie o koszmarnej decyzji burmistrza, odnośnie wycięcia lokalnego lasu. Swoim, nie bójmy się określenia idiotycznym, rozporządzeniem odebrał dom dziesiątkom pięknych okazów ptaków i wiewiórek. Wiersz o życiu? Cholera jasna.

**„Życie nie jest lepsze ani gorsze od naszych marzeń, jest tylko zupełnie inne”** – pisał przecież Shakespeare, a wtórował mu Jonathan Carroll – **„W życiu najczęstsze są dwie sytuacje: albo coś spieprzyłeś, albo ktoś kazał ci spieprzać”**.

Zgadzał się z Paulo Coelho, iż **„(..)w życiu istnieją rzeczy, o które warto walczyć do samego końca”**, powołując się też w myślach na Antoine de Saint-Exupéry’ego **„żyć możesz tylko dzięki temu, za co mógłbyś umrzeć”**.

Wszyscy, wielcy pisarze tego świata idealnie opisali motyw życia. Było, jest i będzie, ale jakie? Na

to pytanie ciężko znaleźć odpowiedź. Rozmyślając o tym motywie, Jason odłożył ołówek na antyczny stół i utkwiał wzrok w jednym z kątów mieszkania.

Miał trzydzieści siedem lat. Był policjantem. Mieszkał w tym małym miasteczku – Ogden w stanie Iowa – odkąd tylko dostał posadę asystenta funkcjonariusza – Williama Brandsbury’ego.

Koledzy po fachu nazywali tego człowieka Łysą Sprzedajną Dupą. Chociaż służył wymiarowi sprawiedliwości, tak naprawdę gardził wszystkim, co się wiązało z policją. Brandsbury był wysokim, niezbyt przystojnym mężczyzną, którego budowa była wprost proporcjonalna do Arnolda Schwarzeneggera albo Hulka Hogana. Tytanowe, twarde jak skała bicepsy. Kaloryfer na brzuchu. Jego mięśnie grzbietu były tak imponujące, że mógłby zonglować nimi końskimi podkowami, gdyby tylko chciał. Niestety twarz funkcjonariusza zdradzała absolutną, wręcz niespotykaną głupotę. W głęboko osadzonych, brązowych oczach, bez większych problemów był w stanie dojrzeć całkowity brak inteligencji. William Brandsbury, chociaż miał czterdzieści lat, w chwili, gdy Clowe został przyjęty do pracy jako jego asystent, bezgranicznie wierzył, że kryminaliści mogą pomagać ludziom. Pozbawione podstawowej moralności

apatyczne jednostki o skrajnie lodowatych sercach, odnajdujące w mordowaniu ludzi nieopisaną frajdę, były dla Brandsbury'ego celem współpracy. Z czasem pogubił się całkowicie między światem dobra, a zła.

Przyłapano go, jak próbował wplątać się w podejrzane interesy, aby poznać fakty na temat pewnej, mało istotnej sprawy. Łysa Sprzedajna Dupa wyleciała z policji z hukiem, a trzask jego umięśnionego, twardego podwozia słychać było na ulicy tak intensywnie, że szyby

w biurowcu nieopodal komisariatu rozprysły się na tysiące maleńkich kawałeczków.

Jason Clowe zajął miejsce Brandsbury'ego jako pełnoetatowy, samodzielny policjant.

Mimo trudnej współpracy z byłym funkcjonariuszem, ten tępy osiłek nauczył go jednak jednej rzeczy – nie noszenia zegarka.

– Posłuchaj no, Clowe – mówił, gdy któryś raz z rzędu zauważył w trakcie prowadzenia śledztwa, iż Jason zerka na swój czasomierz z kwadratową tarczą i brązową, ciemną skórą jako paskiem. – W tej branży nie siedzisz osiem godzin na tyłku przed komputerem, wypełniając foldery drukami, które ostatecznie

i tak wylądują w piecu. Tutaj wstajesz razem ze światem, oświetlającym ci drogę do sprawiedliwości pierwszymi promykami, a pracę kończysz dopiero w momencie, kiedy księżyc woli rzucać jasną poświatę na zakochanych, tańczących w jego świetle, niż na ciebie i twoje sprawy. Może Brandsbury wcale nie był taki tępý? Może rzeczywiście niepotrzebnie go wyrzucono z policji? Jason przypomniał sobie, jak bezproblemowo obezwładniał niebezpiecznych dla otoczenia ludzi. Co najciekawsze, robił to jednym, zdecydowanym ruchem ręki. Siła jego zaciśniętej pięści była porównywalna do prędkości rozpędzanego do granic możliwości pociągu o wadze kilku ton, mającego lada moment zderzyć się z małym samochodem na przejeździe kolejowym. Jeden strzał w twarz mógl, co najmniej, złamać nos. Co najmniej, gdyż w przypadku Brandsbury'ego nigdy na tym się nie kończyło. Pęknięte zuchwy, rozbite łuki brwiowe, połamane nogi, wybite barki. Czasem Łysa Sprzedajna Dupa przestała być funkcjonariuszem policji, a stała się niezawodnym, żadnym krwi zawodnikiem MMA. Jason przerwał rozmyślania o byłym współpracowniku. Nagle, w jego umyśle pojawił się rodzinny dom na obrzeżach Grafton w Północnej Dakocie, niedaleko granicy

amerykańsko– kanadyjskiej. Ojciec Jasona – Robert – wraz z żoną prowadził nieduże gospodarstwo rolne. Byli ubodzy, ale szczęśliwi. Żyli z tego, co sami zdołali wyhodować, a mimo wszystko Jason pamiętał swoje dzieciństwo jako najszcześniejszy okres w życiu. Nigdy nie planował wyprowadzki do Ogden. Miał zamiar zostać tam, na farmie rodziców i pomagać im, a potem, już po śmierci Roberta i Gerdy, żyć w otoczeniu bezkresnych lasów i jezior, w sielskiej atmosferze ciszy. Życie gwałtownie zmieniło jego plany. Nie dało się ukryć, było zaskakujące. Od dziesięciu lat pracował na policji. Mieszkał w niedużym mieście, którego nie lubił, ale i tak się cieszył, że nie trafił do Nowego Jorku, gdzie tłok, smog i tłum ludzi pozbawiłyby go wszelkich zahamowań przed wyjściem na ulicę i strzelaniem do przypadkowych, niewinnych osób, jak do różnokolorowej tarczy na strzelnicy. Otrząsnął się ze wspomnień i skierował się w stronę zabytkowego lustra, jakie nabył razem z antycznym, dębowym stolikiem.

Jego zielone, podkrążone oczy potrzebowały snu, ale Jason nie mógł zasnąć. Chciał pisać, działać, przelewać myśli na papier. Potrzebował twórczej energii, która napędzałaby istnienie, wzbogacając bezbarwny eliksir, zwany życiem o bładoniebieską

pigułkę ectasy.

Kilkudniowy, rudy zarost na owalnej, smukłej twarzy, oszpeconej kilkoma bruzdami. Jason i tak był przystojny, lecz nie chciał się wiązać z żadną kobietą. Praca policjanta dawała mu wystarczająco wrażeń, poza tym... co z dziećmi? Co by im powiedziała jego żona, a ich matka, gdyby Clowe pewnego dnia nie wrócił ze śledztwa?

– Przepraszam was, drogie dzieciaczki. Tatuś nie żyje?

– Johnnie, Samanto, wasz ojciec został rozstrzelany przez jakiegoś apatycznego świra?

Ta myśl była nie do zniesienia. Nagle, przez jego umysł przeszła topornym krokiem wena, zostawiając kilka wątków i pomysłów, godnych wydłużenia w postaci cudownego wiersza. Jason podbiegł do antyku, chwycił za ołówek i już miał zamiar napisać pierwsze wersy, gdy działalność weny zakłócił dźwięk telefonu komórkowego. Jason przeklął w myślach kogokolwiek, kto odebrał mu czas na napisanie poezji, po czym zerknął na numer, który się wyświetlał na zielono.

Należał do jednego z kolegów z wydziału – Ralpha Sandozy.

– Clowe, słucham? – zapytał ciężkim, gardłowym

głosem.

– Mamy kolejną ofiarę, Jason – odpowiedział mu Sandoza.

– O, cholera – wymamrotał ledwie słyszalnym głosem Clowe, po czym zapewnił, iż zaraz pojawi się na komendzie. Zakończył połączenie. Przez krótki moment miał wrażenie, że na jednej z jego liliowych ścian pojawił się hashtag<sup>1</sup>.

**„#śmierć,# zagłada, #oczyszczenie”.**

Pisany ludzką krwią, która jeszcze ociekała świeżością. Mrugnął oczyma i hashtag zniknął. Wzdrygnął się na myśl, z czym będzie miał do czynienia.

## 2

Nick Sharesmayer przekroczył próg wynajmowanego mieszkania, którego stał się właścicielem kilka dni temu. Bez żadnych skrupułów zamordował człowieka, stale domagającego się opłacenia czynszu. Nick miał dwadzieścia pięć lat i nie pracował, więc skąd miał, do cholery, wziąć pieniądze na wynajem? Siwowłósy właściciel mieszkania,

<sup>1</sup> Popularny w serwisach społecznościowych „znak internetowy”. Umożliwia internautom przeniesienie się, bez konieczności przeszukiwania sieci, do dyskusji na dany temat. Działa na zasadzie hiperłącza do określonego słowa.



gdzie przebywał Sharesmayer, stale dręczył go niezapowiedzianymi wizytami i telefonami, a Nick zbywał staruszka, wykręcając się nieplanowanymi wyjazdami. Kilka dni temu, przed wizytą starca, dobrze naostrzył nóż kuchenny. Gdy tylko Edward Brockson – właściciel mieszkania – wszedł do jego pokoju, bez żadnego powiadomienia, nawet jeśli drzwi były zamknięte na klucz, Nick zaprosił go nieokreślonym gestem do środka, twierdząc, że zdobył pieniądze na zapłacenie czynszu i musi po nie pójść tylko do kuchni. Staruszek ucieszył się i rozsiadł na jednoosobowym fotelu, obitym białą, sztuczną skórą. Nick wtedy opuścił pokój – o ścianach, przypominających bezkresny las o wakacyjnej porze – kierując się do kuchni, gdzie miał już przygotowany nóż.

Wrócił do pomieszczenia, w którym znajdował się Brockson, a następnie rzucił się na starszego mężczyznę i podciął mu gardło. Staruszek próbował się bronić i odpychać Sharesmayera, ale był on o wiele za silny dla człowieka w jego wieku. Skąpany w kałuży własnej krwi, ubrany w jasną, dżinsową kurtkę i sztruksowe spodnie o kolorze piasków Sahary, leżał na ziemi, patrząc w sufit niebieskoszarymi oczyma, które coraz bardziej traciły wyrazistość spojrzenia

i stawały się jedynie pustką kartą.

– Nareszcie przestaniesz zawracać mi głowę, ty stary pasożycie społeczny! – wrzeszczał w jego stronę Nick, nie mogąc już dłużej powstrzymać swoich emocji na wodzy. Umył wtedy nóż i położył narzędzie zbrodni w białej umywalce. Ciało zostawił na ziemi, w kałuży krwi. Pod osłoną nocy wyprowadził zmarłego Brocksona z mieszkania i zakopał na obrzeżach lasu Harrier Marsh, należącego jeszcze do administracyjnych granic Ogden.

Nie musiał się bać. Mieszkał zaledwie kilka kroków od lasu, a w tej okolicy ludzie chodzili spać wcześniej i nie zawracali sobie głowy czyimiś sprawami, a co dopiero bestialskimi morderstwami.

Dla pewności zasypał grób Brocksona workiem wapnia, aby zabić uporczywy smród rozkładającego się ciała. Teraz siedział w mieszkaniu, na tym samym skórzanym fotelu, na którym wylegiwał się starzec, oczekując na zapłatę za wynajem. Na zewnątrz już zmierzchało, więc Nick zmuszony był zapalić świeczkę, po czym ustawił ją na mahoniowym stole w pokoju. Nie płacił za prąd, ogrzewanie, wodę i gaz. Co dziwniejsze, nikt nigdy nie nawiedził tego miejsca – nie chodziło tylko o zmarłego Brocksona, ale kogokolwiek z administracji, czy egzekutora prawa.

Nick mógł się domyślać dlaczego. Parterowa kamieniczka była zamieszkaną głównie przez margines społeczeństwa – pijaczków, osoby z wykrzywioną psychiką, ale niegroźne i zdolne do samodzielnej egzystencji. Normalny człowiek nigdy nie odważyłby się zająć mieszkania w tak dziwnym, strasznym miejscu, ale nie Sharesmayer. Miał ciszę i spokój. Tego właśnie potrzebował. Dodatkowo administracja nie chciała się poświęcać na rzecz ściągania długów od osób chorych psychicznie i bezrobotnych pijaczków. Zapewne państwo wołało podnieść podatki. Chory system. Podsunął fotel bliżej świeczki, która oświetlała słabym, żółtym promieniem pokój.

W rękę trzymał najnowsze wydanie *Ogden News*. Na pierwszej stronie tego szmatławca widział duże, czarne litery.

**HASHTAG      ZNOWU      ZAATAKUJE?  
TAJEMNICZE    SYMBOLE    W    MIEŚCIE  
ZWIASTUJĄ    GROZĘ.      MIESZKAŃCY  
PRZERAŻENI.**

Roześmiał się z całych sił, nie mogąc się powstrzymać. Już od dłuższego czasu był nazywany w mieście Hashtagem. Tajemniczy mężczyzna,

który rysuje na murach dziwne, złowieszcze znaki, wykorzystując terminologię internautów, do czynienia zła. Następnie ktoś ginie. Scenariusz nigdy się nie zmienia. Sprawcy morderstw nie odnaleziono do dziś. Spekulowano o kilku grupach przestępczych, ale bestialstwo, jakie charakteryzowało opisywane przez media zbrodnie, było poza wszelkimi formami określeń. Ci idioci nic nie rozumieją, pomyślał Nick, wykrzywiając usta w złowieszczym, szatańskim uśmiechu, po czym odrzucił gazetę w kąt. Usłyszał jedynie cichy trzask papieru o ścianę i z ulgą westchnął.

– Ojczy. Jesteś tutaj? – zapytał, rozglądając się we wszystkie strony.

– Jestem, mój synu – odpowiedział mu ciężki, gardłowy głos, który dochodził, jakby z otchłani piekieł. Diabelski pomiot, Lucyfer w najczystszej postaci pozazdrościłby owej istocie tembru głosu. Nick nie mógł nigdzie zauważyć swojego ojca. Liczył na to, że może teraz się zobaczą, oko w oko, twarzą w twarz.

Z drugiej strony Sharesmayer uważał, iż lepiej będzie, jeśli pozostaną w kontakcie telepatycznym. Możliwość zobaczenia ojca, który nie żył już od kilku lat, byłaby dla Nicka zbyt wielkim szokiem.

Sam nic nie wiedział o życiu pozagrobowym. Nikt nic o nim nie wiedział, żyjąc na Ziemi. Jak tam jest, czy można wrócić w normalnej postaci do świata cielesnych powłok, czy istnieje niebo i piekło? Na te pytania Sharesmayer nie znał odpowiedzi. Nie wiedział też, czy zna je ojciec Nicka – Richard. Młodzieniec jakby na moment zapomniał o obecności, bezcielesnej oczywiście, swojego ojca w pokoju i oddał się wspomnieniom.

*Rodzina, słodka rodzina. Słodka? Okropna! Straszna!! Tragiczna!!!*

Nick był synem Cristie i Richarda Sharesmayerów. Jego matka – blond włosy anioł o smukłej, pięknej i delikatnej twarzy oraz burzy loków na głowie – była piosenkarką w nocnych klubach. Nie przywiązywała żadnej uwagi do wychowywania swojego syna i rodziny. Chciała się bogacić na sponsoringu, rozkładając nogi przed byle kim, kto miał portfel tak gruby, jak objętość drzew z rodziny cyprysowatych – sekwoi. Gdy Nick skończył szesnaście lat, zostawiła jego i Richarda, wyjeżdżając z pewnym czarnoskórym i bogatym mecenasem sztuki do Los Angeles.

Słuch o niej zaginął. Teraz odpowiedzialność za wychowanie syna spadła na Richarda.

Malując niesamowicie piękne pejzaże, sprzedawał je za gruby zbitek dolarów w Domu Aukcyjnym Christie's. Niestety Richard, który w chwili rozstania z Cristie miał czterdzieści pięć lat, nie radził sobie z olbrzymią presją, jaką wywoływały na nim osoby wpływowe, współpracujące z Domem Aukcyjnym i mające sporo gotówki. Nick, często przypadkowo, podsłuchiwał ojca, który zamykał się na długie godziny w swoim pokoju pracy twórczej i rozmawiał sam ze sobą, bredząc o nieśmiertelności w świecie obrazów. Za wszelką cenę chciał osiąść wiedzę o tym, jak przenieść duszę do dzieł na płótnie i spotkać Rembrandta, czy Picassa, porozmawiać z nimi na temat przeróżnych, malarskich motywów, a także podróżować po świecie tworzonym przez końskie włosia pędzla. Ostatecznie, kilka dni po dwudziestych drugich urodzinach Nicka, Richard popełnił samobójstwo, a jego dusza niespodziewanie przedostała się do jednego z obrazów, pozwalając mu na zawsze zamieszkać wewnątrz świata, niedostępnego dla tak wielu ludzi.

Młody Sharesmayer zainteresował się wtedy literaturą okultyzmu, przywracania zmarłych do

życia. Czytał mnóstwo książek o czarnej magii, aż... znalazł sposób. Richard mógł znowu wrócić do świata cielesnych. Hashtagi. Malowane czarnymi, intensywnymi farbami znaki na murach, w pobliżu miejsc, gdzie wisiały obrazy Mistrza Sharesmayera.

Dla wielu osób uznawane za zwykły, godny pogardy wandalizm, dla Nicka ostatnia szansa na powrót ojca do tego świata, w takiej, czy innej postaci.

– Synu, przedostatni człowiek, który miał mój obraz, został właśnie skreślony. Jeszcze jedna istota i wrócę do rzeczywistości, w formie takiej, jak kiedyś. Znowu będziemy razem – wyrwał go z zamyślenia głos Richarda, po czym rozproszył się gdzieś

w pokoju. Wewnątrz mieszkania zapanowała smutna cisza, ale młody Sharesmayer spojrzął na wymiętą kartkę papieru, leżącą tuż obok świeczki. Chwycił ją. Znajdowało się tam osiem imion i nazwisk. Sześć było przekreślonych grubą, czarną kreską. Teraz Nick przekreślił siódme swoim palcem. Zostało jeszcze jedno – **Patrick George Carbisian**.

### 3

– Jason, nie jedź na komisariat. Stracisz tylko czas. Spotkajmy się od razu na miejscu – rzucił mu pośpiesznie Sandoza, gdy Clowe zasiadł wygodnie za czarną, skórzaną kierownicą wysłużonego forda explorera, dającego się określić kolorem wiśniowy metalik. Policjant zapamiętał adres.

*West Division Street* 105. Niedaleko znajdowała się szkoła średnia. Jason miał tam tylko kilka minut jazdy autem, więc nie zastanawiał się długo.

Poczuł suchość w gardle i pot, spływający z jego czoła, z prędkością wodospadu Niagara. Otarł je ręką i dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że pogoda na zewnątrz nie sprzyja racjonalnemu myśleniu. Miał wrażenie, jakby znajdował się w środku mosiężnego, diabelnie czarnego garnca, wypełnionego po brzegi czerwoną, ognistą lawą, przypiekającą mu skórę na całej długości, od pasa w dół. Gdyby tylko ujrzał rogatego szatana za szybą, zapewne wrzasnąłby i uciekł z samochodu, ale nic podobnego nie miało prawa się wydarzyć. Bynajmniej tak sądził.

Na zewnątrz musiała panować temperatura co najmniej dwudziestu pięciu stopni w cieniu. Jason



włączył klimatyzację wewnątrz auta, odpalił silnik, który zaryczał niczym bizon, gotowy do staranowania wszelkich przeszkód na jego drodze.

Dźwięk metalicznego stukotu serca maszyny działał na Clowe'a uspokajająco. Wrzucił bieg wsteczny, ostrożnie wycofał, przerzucił na jedynekę i z piskiem opon ruszył na podany przez Sandozę adres. Kilka minut później, w koszmarnym upale, dotarł do domu, gdzie dokonano kolejnej, makabrycznej zbrodni. Domostwo ofiary było zbudowane w stylu skandynawskim – rzucająca się w oczy prostota, bezpretensjonalność i naturalność były czymś zupełnie odmiennym od reszty tutejszych zabudowań.

Nieduży, drewniany dom w kolorze serca, świeżo wyrwanego z klatki piersiowej. Dach – choć też drewniany – bardziej przypominał zrobiony z cegły. Od ulicy dzieliła go szeroka, gdzieś gdzieś przerdzewiała brama ze stali, przyozdobiona polakierowanymi na czarno elementami, przypominającymi końcówki spartańskich włóczy. Nie była do końca zamknięta, więc Jason rzucił okiem na to, co znajdowało się za nią. Do domu prowadził wąski chodnik z czerwono– szarej kostki brukowej, otoczony przez ciemnozielone, niskie krzewy. Clowe gołym okiem

zauważył ślady oleju albo benzyny na kostce. Chociaż odległość między bramą, a wejściem do domu była krótka, Jason przez moment miał wrażenie, że czeka go przejście setek tysięcy kilometrów piasków Sahary, bez niczego na horyzoncie, wciąż podróżując na oślep.

– Co się ze mną dzieje, do cholery jasnej? – zapytał siebie ledwie słyszalnym głosem  
i przetarł opuszkami palców twarz.

Króciutka trasa zdawała się dla niego niesamowicie długa, chociaż doskonale widział już jasne, drewniane drzwi wejściowe. Powolnym krokiem zmierzał ku nim, rozglądając się, a to na prawo, a to na lewo, czy przypadkiem ktoś nie czyha na niego z bronią w jednym z krzaków.

W powieściach z intrygą kryminalną, których był nieocenionym fanem, seryjni mordercy często ukrywali się właśnie w krzakach, oczekując na przyjście swojej ofiary, nie spodziewającej się zagrożenia akurat w tym miejscu. Na szczęście ciemne, zielone krzewy, smagane delikatnym wiatrem były absolutnie puste. Clowe spojrział na niebo, które miało zamiar pozbyć się swojej uroczej, błękitnej

szaty, na rzecz ciemnoszarego – wręcz melanzowego garnituru – przyozdobionego klapą w kształcie burzy. Zapowiadało się na silną ulewę. Nic w tym dziwnego, chociaż... dlaczego?

Im bliżej drzwi wejściowych się znajdował, tym bardziej przyjazny domek stawał się złowrogim, opuszczonym domostwem, z lokatorami – duchami albo nawet psychopatycznymi, niewidzialnymi mordercami. Przez chwilę wstrząsnęła nim wizja samego siebie wewnątrz murów tego miejsca, gdzie uciekał od drzwi do drzwi, goniony przez człekokształtną istotę z piłą łańcuchową, która wciąż skowycze i piszczy, z podnieceniem wymawiając jego imię. Czarne chmury na niebie zwiastowały zagrożenie. Przed wejściem stał Sandoza. Facet z czterdziestką na karku. Widoczne gołym okiem zakola przy prostych, kasztanowych włosach. Schludnie ogolony. Księga tajemnic, ukryta w głębi spojrzenia szarych oczu. Ubrany w szary prochowiec i jasne, sztruksowe spodnie. Palił papierosa, wydychając kącikiem ust bladoniebieski dym.

Wyglądał, jak gdyby nie spał od kilku tygodni i pracował, zasilany magiczną energią amfetaminy, czy innego, chemicznie podrasowanego ścierwa. Wąskie, zaciśnięte nerwowo usta wyrażały zaniepokojenie.

– Co tam? Coś niewyraźnie wyglądasz – mówił z entuzjazmem Jason, ale Sandoza zmierzył go spojrzeniem, które zmroziło mu krew w żyłach. – Gdy zobaczysz to, co ja zobaczyłem, będziesz wyglądał tak samo – odburknął mu kolega z wydziału, odwracając wzrok w stronę niskiego krzewu przy chodniku.

Clowe przełknął ślinę. Wolał nie wyobrazić sobie tego, co ujrzał na własne oczy Sandoza, ale musiał się z tym zmierzyć. Nie było odwrotu. Odpowiedzialność za znalezienie oprawcy spoczywała na jego barkach. Ralph dopalił papierosa, wypuścił imponująco duży kłąb dymu z ust, po czym rzucił resztkę nikotynowej trucizny na brukowany chodnik i zgniótł go brązowym półbutem.

– Zapraszam na salony, sir – wypowiedział z ironią, spluwając na chodnik, po czym wykonał gest zapraszający do wnętrza domu.

Jason nieśmiało przekroczył próg tego miejsca, ale Sandoza wyciągnął rękę i położył ją na barku Clowe'a.

– Postaraj się nie zafajdać salonu. Pani MacBrown miała już wystarczająco sprzątanego po mnie – stwierdził kolega Jasona, uśmiechając się delikatnie i kiwając głową porozumiewawczo.

Nie zrozumiał, o co mu chodziło. Przeszli krótkim, wąskim korytarzem, pokrytym białą gładzią do obszernego salonu, pomalowanego na zielono i niebiesko. To miejsce mogłoby być, równie dobrze, muzeum brytyjskich eksponatów, gdyby nie brak kolejek w korytarzu i niedobór trzęsącego się, starego kustosa, z trudem opowiadającego o pięknie rzeczy, które mało kogo interesowały.

Jason w końcu zauważył „to”. Chwycił się pospiesznie polakierowanego, jasnobrązowego stolika, stojącego tuż przy wejściu do salonu i jego ciałem wstrząsnęła seria lodowatych dreszczy, po której nastąpiła kolejna seria wymiocin. Resztki hamburgera z frytkami, maczanymi w ketchupie i majonezie, zdobiły teraz sosnowy, odrestaurowany parkiet domu.

Jason pobladł, wstrząsany seriami dreszczy i z trudem trzymał się stolika, a Sandoza wrzasnęła za nim.

– Cholera, mówiłem ci coś!

Clowe zerknął na niego z wyrzutem i spojrzał jeszcze raz na „to”.

Do ściany naprzeciwko Jasona przybita była głowa właściciela domu, z wytrzeszczonymi, niebieskimi oczyma i otwartymi szeroko ustami. Wyraz twarzy

zwiastował fakt, iż ofiara zupełnie nie spodziewała się ataku mordercy. Cienki, wykrzywiony nerw głowy był połączony jakąś kleistą substancją z rozprostowanymi do granic możliwości jelitami. Na całej ścianie była rozbryzgana krew, gdzieniegdzie jeszcze ściekająca w kierunku sosnowego parkietu.

Na drugiej ścianie, tuż obok tej, do której zostały przybite jelita z głową ofiary, znajdowało się coś zupełnie przeciwnego. Pejzaż. Piękny, złocisty las jesienny. Spadające, żółte liście pokrywały błotnistą ścieżkę, prowadzącą donikąd.

– Co jest, do cholery? – zapytał zdziwiony Jason, odzyskując panowanie nad sobą i przyjrzał się niebywalemu dziełu.

– Mnie się pytasz? – odpowiedział mu Sandoza, jak gdyby Clowe traktował go jak delficką wyrocznie. Nagle Jason odwrócił wzrok na jedyny obraz, wiszący w salonie. Było to wyobrażenie wiosennego lasu, moknącego w jakimś niespotykanym dotąd deszczu.

Deszczu? To musiała być ulewa w lasach tropikalnych. Tym razem obraz był podpisany w sposób, umożliwiający odczytanie imienia i nazwiska twórcy. We wszystkich wcześniejszych miejscach, gdzie dokonano zbrodni, identyfikacja podpisu była niemożliwa.

### **Richard Sharesmayer**

– Też widzisz to imię i nazwisko? – zapytał Jason, wskazując palcem nieco niewyraźnie litery, ale i tak możliwe do odczytania.

– Tak. Richard Sharesmayer – dodał machinalnie Sandoza, dokładniej przyglądając się obrazowi.

– Panowie wybaczą, ale byłem zajęty. Mogę w czymś pomóc? – usłyszeli obaj donośny, męski głos i natychmiastowo obrócili się w stronę wyjścia z salonu.

U progu stał wysoki, łysiejący mężczyzna o owalnej twarzy i charakterystycznym, szerokim podbródku, dumnie uniesionym w górę. Ubrany był w białą koszulę z czerwoną muchą i czarne, garniturowe spodnie. Na oko mógł mieć ponad pięćdziesiąt lat.

– Kim pan jest? – zapytał Jason, zdziwiony nagłym pojawieniem się mężczyzny.

– Gregory Coward<sup>2</sup>, kamerdyner... – zawahał się przez chwilę. – Były kamerdyner pana Francisza Donefalda, którego głowę widzicie panowie na ścianie.

Sandoza zaśmiał się po cichu, słysząc donośnie wypowiedane nazwisko lokaja ofiary.

---

<sup>2</sup> ang. coward – tchórz

– Panie Coward, czy wie pan, kim jest Richard Sharesmayer? – zapytał Jason po chwili ciszy.

– Jeśli panowie stoją tuż przy jego obrazie, drogą dedukcji można dojść do wniosku, iż zajmował się malarstwem – mówił spokojnym tonem kamerdyner, w dalszym ciągu unosząc podbródek do góry.

Jason i Ralph poczuli się jak jaskiniowcy, świeżo wydobyli z oków bryły lodu i poznający ten zadziwiający świat.

– Sherlocku Holmsie, tego właśnie oczekiwaliśmy. Och, dziękujemy za oświecenie nas – warknął ze złością Sandoza, a Jason spojrział na niego z wyrzutem, wobec czego Ralph zmuszony był zmiąć w ustach siarczyste przekleństwo. Zamierzał wypalić o wiele groźniejszą serię ostrych, nieprzyjemnych słów, ale zdążył się powstrzymać i zamilkł.

– Pytałem, czy wie pan coś więcej poza niepodważalnym faktem, iż był malarzem – dokończył Jason, nie rozumiejąc zgryźliwości lokaja.

Gregory Coward podniósł lewą, krzaczastą brew, po czym kontynuował wątek.

– Sir Donefald niewiele mówił o malarstwie i twórczości tego człowieka, kimkolwiek był. Wiem jedynie, gdzie kupił ten obraz.

Bingo. Wreszcie pierwsza wskazówka, pomyślał



i chciał usłyszeć, kto rozprawdzał obrazy Richarda Sharesmayera.

– Dom Aukcyjny Crostie’s... Fristie’s... Bris... – starał się wymówić dokładną nazwę owego miejsca, ale notorycznie mylił się. Chował wtedy głowę w przestrzeń między czterema palcami, a wygiętym kciukiem, strzelając przy okazji palcami drugiej dłoni.

– Christie’s – dokończył za niego Sandoza, a kamerdyner od razu podniósł głowę i delikatnie uśmiechnął się, kiwając porozumiewawczo głową. Chwilę potem ze swoich spodni wyciągnął wizytówkę Domu Aukcyjnego, którą przekazał Jasonowi.

– Skąd pan to ma? – zapytał go Clowe, zaskoczony niedużą, biało–niebieską wizytówką.

– Sir Donefald zostawił ją kilka dni temu, na jednej z szafek nocnych – odrzekł bez cienia wątpliwości lokaj. Jason odszedł od Sandozy i kamerdynera, wyciągnął z kieszeni spodni telefon komórkowy i wykręcił podany na wizytówce numer.

Po chwili relaksacyjnej melodii *Czterech pór roku* Vivaldiego, usłyszał sympatyczny, męski głos.

– Dom Aukcyjny Christie’s, Walter Shagenbord, czym mogę służyć?

Jason w możliwie najkrótszej i najbardziej realistycznej wersji przedstawił całą zawilóść sprawy

Richarda Sharesmayera.

– Przykro mi. Obrazami tego malarza zajmuje się jedynie mecenas Woodberg. Wyjechał na kilkutygodniowy urlop do Szwajcarii – odpowiedział mu Shagenbord.

– Może pan ma jakiś numer kontaktowy do mecenas Woodberga?

– Niestety, mecenas jest człowiekiem starej daty i nie korzysta z telefonu komórkowego. Nie zdradził nawet, gdzie dokładnie do Szwajcarii poleciał.

Jason podziękował i zakończył połączenie, a następnie rozłożył bezradnie ręce, zwiastując Sandozie klęskę pierwszego tropu.

– Mam przy sobie listę ofiar z ich miejscami zamieszkania i telefonami – rzucił krótko Ralph i wyciągnął z kieszeni prochowca wymiętą, białą kartkę papieru, na której wszystko było zapisane.

Postanowił osobiście zadzwonić i umówić się na spotkania. Właściciele albo rodziny spokrewnione z pierwszymi czterema numerami, nieomalże jednogłośnie, odrzekły, iż wyprowadziły się błyskawicznie z Ogden, bojąc się kolejnej śmierci.

Posiadacze trzech ostatnich numerów wciąż znajdowali się na terytorium miasta.

**Alice Browes – żona zamordowanego**

**Philipa Browesa, zamieszkała na 58 West Chestnut Street.**

**Peter Walshey – mąż zabitej Gerdy Walshey, zamieszkały na 92 East Sycamore Street.**

**Bill Wakesbeard – wdowiec po Samancie Wakesbeard, zamieszkały na 16 Peterson Drive.**

– Ta kobieta. Jedziemy tam, to nasz pierwszy cel – stwierdził bez chwili namysłu Jason i obaj podziękowali za wszelkie informacje kamerdynerowi, po czym pospiesznie opuścili dom bestialsko zamordowanego Francisa Donefalda.

## 4

Nick Sharesmayer ponownie wyszedł z mieszkania, mając zamiar zrealizować swoją misję.

Hashtagi same się nie przygotowują, pomyślał. Ostatni cel jego i ojca.

Pobliskie okolice, w których mieszkał Patrick George Carbisian. Tam właśnie miały znajdować się znaki, umożliwiające Richardowi spotkanie twarzą w twarz z tą marną, ludzką istotą i odebranie mu duszy. Ostatnia ofiara i wielkie zwycięstwo rodziny Sharesmayerów. Tak blisko do realizacji celu. Tak

blisko do uczłowieczenia ojca Nicka.

Mijając *219th Street* zmuszony był przejść obok cmentarza Glenwood. Stare, marmurowe nagrobki nie zachęcały do wizyty w tym miejscu. Nick nie miał czasu na takie ceregiele jak modlitwa, czy zastanawianie się nad życiem po śmierci. Przez moment wydawało mu się, że słyszał żałosny jęk.

*Przestań.*

Zaskoczony odwrócił głowę w kierunku cmentarza. O tej porze nikogo tam nie było.

– Czy to mi się tylko przesyłało? – zapytał sam siebie, rozglądając się naokoło.

Jęk ucichł. Postawił dwa kolejne kroki i ponownie usłyszał zawodzący głos.

*Nick, zawróć.*

Znowu przystanął i nasłuchiwał. Wokół panowała pustka. Raz mógł się pomylić, ale żeby usłyszeć dwa zawodzące i błagające głosy to, aż nieprawdopodobne.

– Halo?! – krzyknął z całej siły.

Nikt nie odpowiedział. Nick zaczął się trząść. Jego ciałem, raz za razem, wstrząsały dreszcze przerażenia. Czyżby tracił już zmysły? Samobójcza śmierć ojca, odejście matki, samotność na świecie, morderstwo starego Brocksona. Taran wypełniony najbardziej przykrymi, wstrząsającymi dla wielu ludzi

myślami, przetoczył się przez jego głowę, depcząc mu psychiczny spokój i zasiewając niepewność na stabilnym dotąd gruncie. Miał ze sobą przygotowany czarny spray. Narzędzie do tworzenia hashtagów. Musiał, musiał to zrobić. Musiał namalować te znaki, aby jego ojciec wrócił żywy z zaświatów. Jeśli fakty, podane w literaturze okultystycznej, okazałyby się jedynie mitem? Literacką fikcją? Nick nie mógł znieść takiej myśli.

Szedł dalej przed siebie, z każdym krokiem tracąc pewność siebie.

Na *105 West Division Street* znajdował się ostatni cel. Koło domu stał szary, otynkowany mur. Na nim właśnie miał nanieść hashtagi.

Wyciągnął z trudem czarny spray. Trzęsącą się ręką próbował namalować trzy znaki, podyktowane mu przez ojca.

**#agonia, #odkupienie, #powrót.**

Gdy już miał nacisnąć spray, z którego poleciałaby czarna farba, okrywając szary mur, usłyszał kolejny raz zawodzące jęczenie.

*Nick, nie rób tego.*

Chłopak wrzasnął z przerażenia. Odwrócił się

plecami do muru i oczekiwał najgorszego. Nikogo wokół nie było. Jeśli to ofiary ojca? Jeśli one mszczą się na nim, jako na osobie współodpowiedzialnej za ich śmierć? Nick nigdy nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Serce waliło mu jak oszalałe, zdolne wyskoczyć z klatki piersiowej i z prędkością wiatru uciec w stronę autostrady Lincoln Highway. Z trudem zauważył jeden z przejeżdżających po drodze wozów policyjnych. Naciągnął na głowę czarny kaptur i skrył się w cieniu, uniemożliwiając funkcjonariuszom zobaczenie go przy murze. Schował do kieszeni bluzy spray i biegł w stronę mieszkania, z którego wyszedł. Tak szybko, ile miał tylko sił w nogach.

Jak najdalej od tego domu. Zapomnieć. Zapomnieć o hashtagach.

Wytłumaczyć ojcu, że śmierć oznacza niemożliwość powrotu. Literatura okultystyczna to bzdura. Fikcja. Nikt nie może wrócić do świata żywych po odejściu. Nikt! Z każdą chwilą, coraz bardziej przypominał zrozpaczonego, małego chłopca. Myśli przemieszczające się po jego głowie były niczym sportowe wozy, okrążające z zawrotną prędkością tory wyścigowe.

Przekroczył próg mieszkania. Ciężko dysząc, przytrzymał się ściany i obcierał rękami pot z czoła,

jakby próbował oddzielić się od świata zbrodni grubą kreską.

Nie zauważył chwil, które poświęcał na coraz bardziej intensywne ścieranie potu. Przestał dotykać twarz opuszkami palców. Zaczął ją drapać paznokciami. Miał wrażenie, że na jego skórze pojawiła się inna, obca skóra. Szamocząc się przy ścianie, pojękiwał, próbując zdzierać z siebie kogoś, kogo właściwie nie było. Kogoś, kto uroił się w głębi umysłu Nicka.

Przestał, gdy usłyszał donośny, złowieszczy głos ojca.

## 5

Ralph i Jason podjechali pod wyznaczony adres, gdzie zamieszkiwała jeszcze Alice Browes.

58 West Chestnut Street. Nieduże osiedle jednorodzinnych domków, przypominające bardziej kempingowy obóz. Dom Alice był kremowo biały jak delikatny, niewinny płatek stokrotki. Od ulicy do drzwi wejściowych prowadził wąski i krótki betonowy chodnik o kolorze zimnej stali.

Było już ciemno i na szczęście nie padał deszcz. Obaj wyskoczyli z auta i podeszli powolnym

krokiem do drzwi. Sandoza zapukał, a otworzyła mu niewysoka brunetka o delikatnej twarzyczce i pięknych, błękitnych oczach.

Jej falowane włosy przypominały wzburzony tajfunem ocean, targany dzikością natury. Zupełnie nieproporcjonalną do spokojnych oczu.

– Pani wybaczy, Browes. Przychodzimy jeszcze raz, gdyż mamy nowy ślad. Pani zdaje się nie wiedziała, kim był autor tego obrazu, wiszącego w salonie, w tym domu, tak? – zapytał Jason, podnosząc jednocześnie obie brwi.

– Philip nic o nim nie mówił – odpowiedziała smutnym tonem na granicy rozpacz, ale zaprosiła ich obu do salonu, gdzie wszyscy usiedli na skórzanej, białej pufie.

– Nazywał się Richard Sharesmayer. Sprzedawał swoje obrazy za pośrednictwem Domu Aukcyjnego Christie's – dodał po chwili niezręcznej ciszy Sandoza, pochylając lekko głowę w dół.

– Philip więcej czasu poświęcał na doglądanie tego człowieka, niż ja. Jednak... – w pewnym momencie Alice zamknęła usta i zaczęła cicho szlochać. Obaj spojrzeli na nią ze współczuciem, a ona zdołała



kontynuować podjęty wątek.

– Przychodził do nas wieczorami. Przesiadywał w pokoju biurowym Philipa po dwie, trzy godziny. Któregoś razu, przechodząc tam, usłyszałam jakieś słowa. Ten Sharesmayer, kimkolwiek by nie był, bredził. Mówił do obrazów. Mówił coś w stylu „już niedługo zdołam się z wami zjednoczyć. Już niedługo będę mógł podróżować wewnątrz was, czyż to nie jest piękne?” – dopowiedziała z trudem Alice, co jakiś czas łkając bezsilnie.

– Chciał podróżować wewnątrz obrazów? – zapytał zdziwiony Sandoza, zerkając na Jasona, który podzielał jego nastrój. – Ten człowiek nie zachowywał się normalnie – dodała po chwili Alice, patrząc szklistymi, błękitnymi oczyma, a to na Jasona, a to na Ralpha.

Mamy pierwszy, poważny trop, pomyślał Clowe.

– Ja prosiłam Philipa, mówiłam mu, żeby wyprosił tego człowieka, żeby przestał się interesować nim. Nie słuchał, a teraz....już go nie ma! – wykrzyczała Alice w złości

i dłużej nie była w stanie kontrolować swoich emocji. Zaniosła się szlochem, głośnym i bezradnym, kontestującym zastaną rzeczywistość. Jason przysiadł się do niej i przytulił ją, pozwalając oprzeć

na swoim barku głowę, a Ralph skierował wzrok na czerwony, puchaty dywan, który przykrywał dębowe klepki. Życie policjanta było wypełnione wieloma przykrościami, lejącą się strumieniami krwią i gwałtownymi, nieplanowanymi rozstaniem zakochanych ludzi, ale... czegoś takiego, zarówno Ralph jak i Jason, nie widzieli. Nieuchwytny morderca, zmasakrowane, bestialsko pocięte zwłoki, a obok nich... pejzaż. Cuchnący stolec o rzadkim, zielonym kolorze na środku wyremontowanego, bogato zdobionego domostwa. Szarobury, śpiący kot w towarzystwie dzikich, bezpańskich psów.

Coś, co nadawało masakrom innego na nie spojrzenia, zbijając z tropu nawet najbardziej twardej funkcjonariuszy policji. Najważniejsza była teraz bardzo cenna poszlaka. Pierwszy trop, jakim mogli udać się Jason i Ralph w poszukiwaniu kolejnych, aż do rozwikłania zagadki tajemniczych morderstw. Sandoza podniósł głowę i skierował wzrok na Jasona, oczyma wskazując drzwi wyjściowe. Clowe wypuścił z objęć Alice, która powoli odzyskiwała kontrolę nad sobą. Obaj podziękowali jej za cenne

informacje i wyszli z domu. Stojąc na betonowym chodniku o kolorze zimnej stali, prowadzącym w stronę auta Jasona, przystanęli i spoglądali na siebie ze zdziwieniem.

– Wierzysz w jej słowa? – zapytał Sandoza, przeglądając notatnik z uwagą, którą kazał mu zapisać Clowe. – Czasami morderstwa wykraczają poza wszelakie granice zdrowego rozsądku. Gdyby ten malarz był normalnym człowiekiem, myślę, że skończyłby bazgrać na płótnie, a potem oddalił się i żył swoim życiem, bez robienia żadnych ekscesów – odpowiedział Jason, przez dłuższy moment czując się jak filozof, omawiający problemy współczesnego świata na jakimś kongresie polityczno–społecznym. Nigdzie nie widział widowni, która mogłaby go oklaskiwać za każde chrząknięcie po skończonym zdaniu. Gdy Sandoza powolnym krokiem zbliżał się w stronę auta Jasona, ten wciąż stał przy drzwiach wyjściowych i mrugał niespokojnie oczyma, marszcząc brwi i patrząc na chodnik.

– Co jest? Boli cię coś, czy dostałeś cykora? – zapytał Ralph z delikatnym uśmiechem, jaki pojawił się mu w kącikach ust. – Mam takie wrażenie, że następny dom skrywa jeszcze więcej tajemnic. Ja to czuje, Ralph, czuje. Cholera, takie przeczucie nie

nawiedziło mnie nawet wtedy, gdy Łysa Sprzedajna Dupa był moim przełożonym, a przecież on sam wyglądał jak postać żywcem wyjęta z jakiegoś nudnego filmu klasy B o pościgach i strzelaninach – mówił ze spokojem Jason, mimowolnie uśmiechając się na myśl o Brandsbury’m.

– Oczyszczeni, nieustraszeni, możemy ruszać na East Sycamore Street – stwierdził Sandoza, wykonując nieokreślony gest przy wymawianiu słowa „oczyszczeni”.

Clowe doskonale wiedział, że chodziło o „pamiątkę”, zostawioną w salonie bestialsko zamordowanego sir Donefalda.

Jason na chwilę jeszcze podniósł głowę i zerknął na gęste, ciemne chmury. Mimo nocy, wciąż zbierało się na deszcz. Delikatny, letni wietrzyk, smagający sosny i krzewy za dnia, teraz stał się zimnym, niewidzialnym mordercą dobrego nastroju.

***O, groźna, groźna nocy!  
Niech nad puszczą uśpioną –  
gdy ja zamykam oczy –  
twoje gwiazdy zapłoną.<sup>3</sup>***

---

<sup>3</sup> William Blake, *Wróżby niewinności*

Jason pospieszył za Ralphem i obaj zasiedli wewnątrz samochodu Clowe'a.

Następny przystanek – *92 East Sycamore Street*.

## 6

Nick siedział na skórzanym fotelu, ciężko dysząc. Dotknął delikatnie opuszkami palców swoją twarz i zauważył, że z policzka wydobywa się mała strużka krwi.

Musiał zbyt mocno drapać, walcząc z wyimaginowanym przeciwnikiem, który miał zamiar zająć skórę Nicka, prawowicie przysługującą jemu. Trząsł się ze strachu, przypominając sobie tajemnicze głosy przy cmentarzu i koło muru.

*Przestań.*

*Zawróć.*

*Nie rób tego.*

Nie interesował go fakt, iż mieszkanie spowija gęstniejąca ciemność. Wciąż przyprawiały go o dreszcze niespotykane jęki i zawrożenia, które skutecznie uniemożliwiły mu realizację zadania.

Hashtagi nie zostały namalowane. Spray, nietknięty, pozostawał w bluzie Nicka.

– Zrobileś to? – usłyszał głos Richarda, dochodzący gdzieś z kuchni. Był jednak zbyt spokojny, żeby się go bać. – Nie, ojciec. Ja... – chciał dokończyć Nick, ale stukot o podłogę spadającego obrazu, wiszącego za plecami młodego Sharesmayera, skutecznie uciszył młodzieńca.

– Nie? Nie?! Dlaczego, Nick, dlaczego? – głos Richarda stawał się coraz bardziej donośny. Brzmiał jak wrzaski człowieka, zalewanego wulkaniczną lawą, nie mogącego się wydostać z piekielnie ognistego basenu. Nick poczuł w sobie odwagę. Nigdy w życiu nie przepływał przez niego tak silny strumień energii. Mógł teraz unieszkodliwić i pozbawić życia całą brygadę antyterrorystów, uzbrojonych w najbardziej nowoczesne karabiny, kevlary i granaty.

– Mam tego dość. Dość! Rozumiesz?! – wrzasnął Nick z całej siły.

Odgłos wrzasku młodego Sharesmayera był tak potężny, iż zadrgała szyba w pokoju.

Po chwili dłuższej, niezręcznej ciszy, Richard znowu się odezwał.

– Nie chcesz się już spotkać ze swoim ojcem, tak?  
– zapytał ledwie słyszalnym głosem, balansującym

na granicy rozpacz. Nick posmutniał. Nie zdawał sobie sprawy, że mimowolnie wstał, gdy zaczął krzyczeć, ale teraz bezsilnie opadł na skórzany fotel i skrył twarz w swoich rękach. To było dla niego za dużo. Opuszczony przez matkę – kobietę lekkich obyczajów, która dla kilku banknotów potrafiła chodzić na czterech rękach, jak prawdziwy pies, bez ojca, który obsesyjnie wołał malarstwo od własnego syna.

– By żyć samotnie, trzeba być zwierzęciem lub Bogiem – zacytował Friedricha Nietzschego, łkając bezsilnie, a potem kontynuował swoją wypowiedź. – Kim jestem ja? Bogiem? Jestem zwierzęciem! Zwykłym psem albo kotem, który chodzi nocami po ulicach, wachając cudze zapachy i zeskrobując z betonowych chodników kawałki okruszków chleba. Ktoś może mnie potrącić, kopnąć w zad, a ja jestem w stanie tylko skamleć i błagać o uwagę! Nie mam nic, nikogo nie interesują moje uczucia! Matka wołała forszę od syna, a ty, ojczu, wołałeś swoje płótna ode mnie! Teraz chcesz walczyć o moją uwagę? Teraz?! Gdy jesteś w stanie podróżować wewnątrz obrazów, ale nie przebijesz się przez bramę, nienamacalną, chociaż istnieje? To jest ponad moje siły, ojczu. Ponad wszystko. Ponad sens istnienia! Wolę zginąć,

niż żyć tak, jak żyje – mówił spokojnie Nick, chociaż przy wypowiedaniu każdej, nowej kwestii trząsał się niesamowicie i z oczu kapały mu rzewne łzy.

Patrzył w okno, obserwując pustą ulicę. Ciemna, szara, betonowa droga wydawała mu się taka smutna. Przypominała jego trasę. Był dzieckiem nieszczęścia. Kroczył po niepewnej ścieżce, lawirując między psychozą, niewytłumaczalnymi zjawiskami, a normalnymi ludźmi, którzy gdzieś tam mieli swoje rodziny i żyli, szczęśliwi tak, jak on nigdy nie będzie. Chciał zamknąć oczy, upaść na podłogę i umrzeć. Nieważne, czy będzie rozstrzelany. Nieważne, czy ktoś rozerwie jego ciało na strzępy. Chciał zniknąć z tego okrutnego świata i trafić do lepszej krainy, gdzie nie będzie już nigdy więcej Nickiem Sharesmayerem.

**Ot, jeszcze jeden tydzień spędzony w więzieniu, które nosiło szumną nazwę – życia.<sup>4</sup>**

Lawirował między tą pustką i bezradnością. Nie wytrzymał. Zaniósł się płaczem, smaganym uczuciem, jakiego nigdy w życiu nie doświadczył.

Dotychczasowy cel – spotkania się z ojcem twarzą w twarz – runął gdzieś w szczątkach jego własnej osobowości. Już nie był tym Nickiem Sharesmayerem, tym samym Nickiem Sharesmayerem, którego nie było w stanie przerazić.

---

<sup>4</sup> Dean Koontz, *Trzynastu apostołów*



Teraz był pustą, pogniecioną kartką, leżącą w kącie i czekającą na kogoś, kto ją rozprostuje.

Był samotnym, czarnym kamieniem, skąpanym w słonej, morskiej wodzie, uderzającej o jego twardą skorupę silnymi, strumieniami fal.

Niezamieszkanym, szpetnym domem na środku złotej pustyni, którym nikt nigdy się nie interesował. Ponownie opadł na fotel. Musiał stworzyć w swojej głowie kolejny, poważny plan. Plan zmiany, odnowy. Nie mógł przecież dalej grać tymi kartami, jakie były na stole. Te karty i tak doprowadziłyby go do pustki, jeszcze czarniejszej i przytłaczającej niż tej, którą odczuwa teraz.

– Nie zrobisz tego? – przerwał mu głos ojca, tym razem dochodzący, jakby stał tuż za nim.

– Nie wiem – odpowiedział beznamiętnie, ocierając twarz ze słonych łez.

Bolało go serce, klatka piersiowa i dusza, chociaż to ta ostatnia część wyzwalala w nim największą trwogę. W drodze donikąd, ciężko o plan. W drodze donikąd, ciężko o światło. Chodzi przecież o to, żeby upaść i nie iść. Zawrócić. Może jednak warto walczyć? Oślepić pustkę i uciec w świetlisty raj? Gdzie go szukać, jeśli

zawszą otacza nas bezkresna ciemność o wilczych, świdrujących oczach i ogromnych, ostrych kłach?

Nick znieruchomiał. Ocknął się z przemyśleń dopiero wtedy, gdy nieświadomie otworzył drzwi wyjściowe. Czekał w progu, jakby zaraz ktoś miał wkroczyć do mieszkania i zaatakować

go z zimną krwią.

– Dokąd idziesz? – usłyszał gdzieś za plecami głos ojca. – Nie twój interes – odburknął, nie odwracając się w stronę pokoju. – Wracaj! Hashtagi czekają, jesteśmy już tak blisko celu – mówił niespokojnie Richard, ale Nick nie dał się ubłagać. Wyszedł z mieszkania i trzasnął drzwiami.

Jego nowym celem było *East Beaver Creek*. Mała rzeka, przepływająca przez Ogden. Czuł, że tam znajdzie odpoczynek i być może odpowiedź na trapiące go pytania na to, co ma robić dalej.

Noc była niespokojna. Otulała mocno swoimi ogromnymi, potężnymi rękoma miasteczko, jak małe dziecko plastikową lalkę. Letni, niegroźny wietrzyk stał się zimnym wichrem, targającym teraz gałęzie drzew, które wyginały się, prezentując spektakl możliwości Matki Natury.

*Nie rób tego.*

Wiedział, że nie może spełnić prośby swojego ojca.

To oznaczałoby niepowetowaną stratę osób, które w żaden sposób nie były winne. Każda z ofiar kupiła obraz Richarda Sharesmayera ze względu na jego talent i to była rzecz niepodważalna. On sam jednak nie zadowolił się faktem zwykłego uznania. Chciał osiąść życie wieczne, naruszając porządek tego świata. Teraz, uwięziony wewnątrz swojej twórczości, pragnął się wydostać na zewnątrz i żyć, jak jeszcze nigdy dotąd. Po kilkunastu minutach intensywnego biegu, Nick dotarł nad rzekę.

Płytką wodą, otoczona ze wszystkich stron przez bujne, zielone trawy, była idealnym miejscem, gdzie młody Sharesmayer mógł przemyśleć wszystko. Nagle, ku jego zdziwieniu, w tafli wody ujrział niewyraźną, ale dającą się scharakteryzować twarz. Po chwili namysłu Nick uznał, że musi ona należeć do Francisa Donefalda – ostatniej ofiary jego ojca.

Sharesmayer z trudem zauważył wyraz tej twarzy. Pytający, zdziwiony, zniesmaczony. Jak gdyby chciał się za wszelką cenę dowiedzieć, dlaczego?

Dlaczego odszedł? Dlaczego Richard Sharesmayer go zabił? Dlaczego Nick pomógł swojemu ojcu?

Nie słyszał żadnych głosów. Twarz sir Donefalda była smutna i blada. Po chwili rozmazała się w tafli wody, gdy Nick poczuł na swojej skórze kropelki. Zaczynało padać. Nocne chmury zapowiadały przełom, który może stać się prawdą, jeśli tylko Sharesmayer zdecyduje się ujawnić zamiary swojego ojca. Wiedział, że bez niego, Richard nie będzie w stanie wydostać się ze świata swojej twórczości. Potrzebne mu były hashtagi. Z drugiej strony, czy na pewno nie poradzi sobie bez syna? Jest martwy. Przeniósł się na „drugą stronę”, co oznacza, że może posiadać moce, o których Nickowi się nie śniło. Spojrzenie na tą sprawę z innego punktu widzenia powodowało u Sharesmayera gęsią skórę. Śmierć nie jest ostateczna. Czyżby? Jeśli Richard naprawdę powróci, bez pomocy Nicka i zemści się na nim za ten brak pomocy?

Trzeba działać, pomyślał młodzieniec, chociaż wciąż patrzył na tafnię wody w rzece, zniekształcaną co chwila przez kropelki deszczu.

## 7

Jason i Ralph dotarli do domu Petera Walshey'a. Zamieszkiwał on część bliźniaka, pokrytego białą

boazerią. Okna były pozasłaniane purpurowymi zasłonami od zewnątrz.

Ralph zapukał w drzwi. Dopiero po czwartym uderzeniu ktoś je otworzył.

Przed oczyma Sandozy i Clowe'a pojawił się Peter Walshey.

Był wysokim, przystojnym mężczyzną, z potarganymi włosami o mieszanej barwie intensywnej czerni, z szerokimi paskami siwizny. Miał owalną, sympatyczną twarz z kilkudniowym, czarnym zarostem. Zmarszczył swoje czarne, grube brwi i zmrużył brązowe, mądre oczy, zerkając na policjantów.

– Wracamy raz jeszcze, żeby dowiedzieć się kilku rzeczy o jakimś Richardzie Sharesmayerze i...

– Jason już miał dokończyć swoją wypowiedź, ale Walshey przerwał mu gwałtownie.

– O kim? – zapytał zdziwiony.

– Richard Sharesmayer. Malarz – dodał po chwili niezręcznej ciszy Ralph.

– On się tak nazywał? Gerda nic nie wspominała mi o tym imieniu i nazwisku – stwierdził bez

namysłu Peter. – Myśleliśmy, że... – Jason miał na końcu języka koniec stwierdzenia, lecz jedynie zdołał westchnąć, co zwróciło uwagę Sandozy. Walshey zaprosił ich do salonu, który ukryty był w egipskich ciemnościach. Szare, smutne ściany idealnie zgrywały się z nastrojem mężczyzny. Pustka. Emocjonalny bezsens.

– W dniu bestialskiej śmierci Gerdy nie było mnie w domu. Przyjechałem dopiero kilka godzin temu. Ja pracuję w biznesie, związanym nieustannie z giełdą i jestem zmuszony dużo podróżować. Akurat kilka godzin temu dotarłem do domu, po wyczerpującej podróży z Nowego Jorku. Gerda nie chciała się za wiele wypowiadać o tym malarzu. Mówiła, że jest wspaniały, taki utalentowany. Cieszyło mnie to. Nie wiem, kto właściwie ją zamordował, ale nie było żadnych śladów, poza tą krwią i pejzażem, o którym wcześniej panom wspomniałem – mówił Walshey, zakładając nogę na nogę i nerwowo poruszając nimi.

– Nie wie pan? Nie wie pan?! Może to jednak pan ją zabił, bo zakochała się w malarzu, nie mając żadnego pożytku z męża, który jest ciągle w delegacji? Następnie nakrył pan ją w łóżku z tym człowiekiem i zemścił się, zabijając ich oboje i pozbywając się ciała! – mówił Ralph, wybuchając gwałtownie niczym

Wezuwiusz, przepelniony ognistą lawą.

– Słucham? – zapytał Walshey, całkowicie zbity z tropu fałszywymi oskarżeniami Sandozy.

– Nie było tak? Może pan tylko wymyślił tą bajeczkę z Hashtagem, który wykonuje dziwne znaki na murach, żeby odwrócić uwagę od prawdziwego zabójcy, jakim jest pan!

– Jak pan się śmie? – wrzasnął Walshey, aż Ralph zbladł ze strachu.

Jason uderzył otwartą dłonią Sandozę w bark i przeprosił Petera za zachowanie partnera, po czym podziękował za gościnę i wypchnął Ralpha z domu.

– Ty łajzo, ty durniu! Przez moment, gdybym cię nie znał tyle lat, pomyślałbym, że sam jesteś tym zawszawionym Hashtagem, kretynie! To był nasz świadek! Teraz nic nam nie powie, bo wysnułeś sobie jakąś chorą teorię o jego winie – krzyczał w jego stronę Jason, a Ralph wysłuchiwał uwag z zupełnym lekceważeniem.

Prawdziwą erupcję wulkanu, jaki drzemał wewnątrz Clowe'a, powstrzymały jedynie kropelki deszczu, zderzające się z powierzchnią jego skóry.

Chłodny wiatr, okalający ciało Jasona, otrzeźwił umysł i uspokoił go. Przez długi moment patrzył na Sandozę, jak na zatwardziałego kryminalistę,

siedzącego za kratkami. Wyraz twarzy partnera Jasona był nie do opisania. Ralpa też męczyło to śledztwo, które donikąd nie prowadziło. Chciał zakończyć sprawę tak szybko, jak tylko był w stanie, chociaż znalezienie sprawcy mogło wydawać się niemożliwe.

– Dobra, ruszajmy do ostatniego świadka, może tam się czegoś dowiemy – stwierdził już spokojny Jason i obaj udali się do auta. Gdy Clowe zapalał silnik i odwrócił się w lewą stronę, sięgając po pas bezpieczeństwa, Ralph odwrócił się w prawo i zerknął w stronę okna domu Walshey’a.

Patrzył na nich. Sandoza widział to doskonale. Jego wzrok przypominał truposza, świeżo powstałego ze zmarłych. Dzikie spojrzenie nienawiści. Ralph zerknął na Jasona i potem znowu spojrzął w stronę okna. Nikogo już tam nie było. Cicho westchnął i zamknął oczy. Przed nimi droga do ostatniego, dostępnego świadka. Clowe odjechał z piskiem opon.



## 8

Nick odszedł od tafli wody na rzece. Rozpływająca się w niej twarz sir Donefalda zanikła całkowicie. Sharesmayer nie mógł doprowadzić do realizacji ostatecznego celu swojego ojca. Świat już wtedy nie przypominałby tego, w którym żył dotychczas. Nie wiadomo, jakie plany miał Richard. Być może wcale nie wystarczyłoby mu jedynie osiem dusz. Może zacząłby mordować setki, tysiące, miliony osób, całkowicie niewinnych. Powrót ze świata umarłych nie powinien być możliwy. Skierował się w stronę miasta. Biegł, ale zatrzymał się ponownie przy cmentarzu.

Trzęsąc się ze strachu, przekroczył próg tego świętego miejsca. Miał wrażenie, że spotka go tu zasłużona śmierć. Nie spodziewał się, żeby miał jakiegokolwiek działania do podjęcia, poza odejściem, jak najszybszym.

– Sprawiedliwości niech się stanie zadość! Teraz, już! To jest moja misja! Odbierzcie mi te, nic nie warte życie! – krzyczał bezsilnie, patrząc w niebo, które okryte było szalem o kolorze intensywnej czerni. Cisza. Pustka. Wokół ani żywej duszy.

*Nie rób tego.*

Nick znowu usłyszał ten zawodzący głos. Odwrócił się plecami w stronę wyjścia. Nikt nie przekroczył bramy.

*Opanuj się.*

Jęczący, bezsilny głos nasilił się.

*Pomścij nas, pomścij!*

Jęk ustał. Nick usłyszał natężenie kilku głosów, mieszających się jednocześnie w symfonii żalów i agresji.

*Pomścij, pomścij!*

– Jak? Jak mam to zrobić? – pytał z całych sił, chociaż nie wiedział z kim rozmawia.

Rozglądał się wokół.

Jęki ustały. Po raz kolejny zapanowała absolutna, błoga cisza.

Nick nie wiedział, co ma zrobić. Dokąd się udać? Z kim rozmawiać? Kto pomoże, jeśli każdy miałby go za wariata? Znikąd ratunku. Opuścił teren cmentarza i oparł się plecami o mur, odgradzający to święte miejsce od reszty świata.

**Oczy mówią nam, że jest coś czego nie możemy wiedzieć**

**i wtedy dopada nas poczucie bezradności.  
Świadomość, że żyjemy zamknięci w sieci  
niepodzielanych uczuć.\*<sup>5</sup>**

Nick skrył twarz w swoich rękach. Nie chciał oglądać świata, który nim gardzi i nie chce mu pomóc. Pomyślał przez krótki moment o swoim ojcu. Czy będzie chciał, nawet bez pomocy Nicka, dopaść ostatnią ofiarę? Na pewno. Co do tego nie było wątpliwości.

Sharesmayer musiał działać, a jedyną formą działania był... kontakt z policją.

## 9

Jason zaparkował auto na *16 Peterson Drive*. Tutejsza okolica nie wyglądała przyjaźnie, zwłaszcza nocą. Mały, drewniany, zielony domek z białym, niedużym dachem należał do Billa Wakesbearda. W tej chwili mieszkał w nim sam, gdyż Samanta, na zawsze, odeszła do Królestwa Bez Powrotu.

Ten trzydziestodzieciolatek mężczyzna o posturze hokeisty, brwiach neandertalczyka i kudłatych, kasztanowych włosach wydawał się w gruncie rzeczy sympatycznym człowiekiem.

---

<sup>5</sup> Lawrence Thornton, *Sny Carlosa Ruedy*

Ubrany w długą, zieloną i kraciastą koszulę oraz jasne, sztruksowe spodnie, otworzył im drzwi, zaskoczony ponowną obecnością tych samych policjantów.

– Wiem, że pytam jeszcze raz o tą sprawę, ale... czy może nam pan streścić, jak poznał Richarda Sharesmayera? – zapytał Jason.

– Już o tym mówiłem. Pokłóciłem się z żoną i w ramach przeprosin, pozwoliłem jej zaprosić tego malarza do nas, do domu, żeby namalował pejzaż, który byłby prezentem dla Samanty.

– Nie zauważył pan niczego podejrzanego w zachowaniu Sharesmayera? No nie wiem... mówienia do obrazów, majstrowania przy płótnach? – dopytał po dłuższej chwili Ralph i obaj zauważyli, że Wakesbeard przełknął ślinę i pobladł na twarzy.

– Wejdźmy do środka, nie będziecie przecież panowie moknąć na zewnątrz, kiedy pada deszcz – zaprosił ich do środka i rozsiedli się w przytulnym, niedużym salonie, pomalowanym na miodowo i beżowo.

Chociaż kolory te nieco się gryzły, Jasonowi bardzo podobał się wystrój pokoju gościnnego w domu Billa

Wakesbearda. Usiedli przy dębowym, dużym stoliku.

– No cóż. Tak po prawdzie to byłem świadkiem pewnej, niesamowitej sceny z udziałem Sharesmayera – stwierdził Bill, przewracając oczyma na prawo i lewo, co wyraźnie przykuło uwagę Ralpha. – Coś się stało?

– Pewnie mi panowie nie uwierzycie, ale on... on prawie przeniknął do wnętrza obrazu – mówił niespokojnie Wakesbeard. – Nie rozumiem. Jak przeniknął? – zapytał zaskoczony Ralph, patrząc na mężczyznę, jakby pochodził z innej planety, albo mówił rzadko spotykanym, obcym mu dialektem.

– Jego ręce przenikały do wnętrza obrazu. Malował, malował i nagle... jakby płótno ucięło mu ręce, chociaż wciąż je miał. Jak gdyby zdołał przenieść swoje kończyny górne do środka – opowiadał podekscytowany Bill, a Ralph zanotował ową uwagę w swoim notesie.

– Jakoś pan zareagował? – zapytał Jason, nakręcając się na zadawanie pytań. – Odszedłem stamtąd. Wydawało mi się, że zobaczyłem coś, czego nie powinienem. Ot, taka przypadkowa sytuacja – stwierdził Wakesbeard, wykonując nieokreślony ruch ręką. – Czy Sharesmayer nie mówił nic do obrazów? Nie wypowiadał jakichś, no nie wiem, tajemniczych

słów? Zakłęb? – Jason próbował wymyślać coraz to bardziej idiotyczne pytania, ale zdał sobie sprawę, że w tym śledztwie nic nie było takie, jakie być powinno. – Mówił coś, ale niewyraźnie. Nie byłem w stanie zrozumieć tego bełkotu. Każdy artysta ma podobno coś nie tak pod kopułą, więc wiecie panowie, zignorowałem takie gadanie – stwierdził Wakesbeard, delikatnie się uśmiechając. – No cóż. Dziękujemy za te cenne informacje – powiedział Jason i odsunął się od stołu, wyciągając rękę w stronę Billa, którą ten też ścisnął.

Gdy Sandoza i Clowe już zmierzali do wyjścia, Wakesbeard jeszcze ich zatrzymał.

– Aha. Przypomniała mi się jeszcze jedna rzecz. Sharesmayer mówił coś o synu. Miał dziecko.

Ralph spojrział zaskoczony na Jasona, a ten odwzajemnił spojrzenie. To była informacja na wagę złota. Musieli za wszelką cenę znaleźć syna Sharesmayera. Może grozić mu niebezpieczeństwo, albo coś jeszcze gorszego niż mogło im się tylko wydawać.

– Musimy jechać na komendę – rzucił krótko Jason, a Ralph skinął głową. Niczym błyskawice opuścili dom Wakesbearda i skierowali się do komendy policji. Nie było czasu do stracenia.

## 10

Nick podniósł się z ziemi, na którą runął, opierając się bezsilnie plecami o mury cmentarza. Policja. Jedyne forma odciążenia się od tej sprawy. Jedyne nadzieje na zmianę swojego życia.

Musiał powstrzymać ojca i pomścić niesłusznie zabite ofiary. Nie mógł wrócić do domu. Poczul, że ciąży na nim obowiązek wyjaśnienia prawdy.

Telefon. Potrzebuje telefonu. Pójście na komisariat policji będzie oznaczać areszt bez możliwości wytłumaczenia, co tak naprawdę się stało i zaczną działać, jeśli nikt nie powstrzyma Richarda Sharesmayera. Przechodząc niedaleko kościoła świętego Jana zauważył budkę telefoniczną. To jego jedyna szansa na kontakt z policją.

Cholera, pomyślał. Nie miał ani centa w kieszeni. Przejrzał swoje spodnie i bluzę. Nie zarabiał, więc skąd miał wziąć pieniądze? Nie wiedział za dużo o społeczeństwie i prawach w nich rządzących, dlatego też nie pamiętał, że telefony alarmowe były darmowe, jednak idąc wzdłuż West Division

Street, potknął się o coś. Usłyszał metaliczny brzdęk jakiegoś przedmiotu. Po omacku dotykał zimnej powierzchni, gdy odnalazł leżącą na niej monetę pięćdziesięciocentową.

Przyjrzał się jej dokładnie i spojrział w niebo.

– Szczęśliwy dniu – powiedział na głos, mrużąc oczy ze zdziwienia.

Wewnątrz budki znajdowała się książka telefoniczna. Znalazł numer policji i wykręcił go, oczekując, żeby tylko ktoś odebrał i nie rozłączył się, uważając jego słowa za skrajną głupotę.

## 11

Jason i Ralph przebywali już w komendzie. Przeszukiwali wszystkie zbiory informacji, zarówno papierowych, jak i internetowych. Wszystko, co mogło zawierać jakiegokolwiek doniesienia o synu Richarda Sharesmayera. Pustka. Żadnych informacji. Internet, tak potężna biblioteka danych, nie miała nic o potomku Sharesmayera.

– Cholera – wrzasnął z całej siły Sandoza, uderzając pięścią w dębowe biurko Jasona.

Clowe wydał głośny odgłos westchnienia, gdy usłyszał telefon stacjonarny. Podniósł zieloną



słuchawkę.

– Tak?

– Mam mało czasu, gdyż dzwonię z budki telefonicznej. To ja, Hashtag – stwierdził męski, zdecydowany głos, dobiegający ze słuchawki. Jason zaniemówił, a Ralph zerknął na niego z zaciekawieniem, pytając cicho *kto to?* Clowe z trudem wyszeptał do niego – Hashtag.

Oczy Sandozy zrobiły się ogromne.

– Słucham – wymamrotał z ledwością Jason. – Jeśli jesteś osobą, która zajmuje się moją sprawą, mam dla ciebie niepodważalne informacje. Spotkajmy się przy budce telefonicznej, koło kościoła świętego Jana, jak najszybciej. Nie mogę czekać, ale pamiętaj – bez żadnego wsparcia – mówił zdecydowanie tajemniczy mężczyzna, po czym rozłączył się.

Jason zapamiętał lokalizację, w której mieli się spotkać.

– Dzwonił Hashtag – stwierdził Clowe, zerkając w martwy punkt.

– To już wiem, czego chciał? – zapytał Ralph, nie mogąc się doczekać wyjaśnienia.

– Spotkać się twarzą w twarz. Bez obstawy –

rzucił krótko Jason, patrząc porozumiewawczo na Sandozę. Wiedział, że sformułowanie „bez żadnego wsparcia” nie będzie możliwe. Hashtag, równie dobrze, mógłby być grupą kilku osób, które bez cienia skruchy podcięłyby gardło Jasonowi, zostawiając go krwawiącego na pastwę losu. Ralph musiał jechać z nim, ale umówili się, że Sandoza zostanie w aucie i będzie czuwał na wypadek, gdyby doszło do walki między Jasonem, a Hashtagem.

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? – zapytał partner Clowe’a z litością, marszcząc brwi.

– Nie mamy innego wyjścia, Ralph – stwierdził bez namysłu Jason i obaj opuścili komendę, kierując się w stronę budki telefonicznej przy kościele św. Jana.

## 12

Nick, zwany przez prasę Hashtagem, nie musiał wiele czekać na pojawienie się samochodu Jasona.

Clowe był zaskoczony widokiem młodego mężczyzny, w czarnej bluzie z kapturem.

Jego niebieskie, smutne oczy kompletnie nie pasowały do wyobrażenia o psychopatycznym mordercy.

– To ty jesteś tym seryjnym oprawcą? Nie

wyglądasz na takiego – stwierdził Jason, bez cienia wątpliwości. – Ja nie jestem mordercą, tylko mój ojciec – odpowiedział mu spokojnie Nick.

Jasonowi zaiskrzyła w głowie myśl. Przypomniła sobie słowa Billa Wakesbearda – *mówił coś o synu. Miał chyba dziecko* – i otworzył szeroko usta.

– Ja jestem Nick Sharesmayer, syn Richarda – dodał po dłuższej chwili niezręcznej ciszy.

– Czyli twój ojciec jest odpowiedzialny za te wszystkie masakry? Gdzie on teraz jest? – wypalił natychmiastowo Clowe, nie mogąc się kontrolować. Jego ciałem wstrząsał gniew.

– Nie żyje – stwierdził ze smutkiem Nick, opuszczając głowę w dół.

Oczy Jasona otworzyły się szeroko, jakby syn Sharesmayera sam był duchem i tańczył przed nim w stylu Michaela Jacksona.

– Nie żyje? – zapytał, nie dowierzając w to, co usłyszał. – Czy wierzy pan w życie wieczne? – przerwał mu Nick, kierując wzrok na Jasona. – Życie wieczne? Mamy chyba tylko jedno życie – odpowiedział mu zamyślony Clowe, drapiąc się delikatnie po głowie i niewiele rozumiejąc z pytania Nicka. – W związku z tym, wytłumaczenie całej tej sprawy będzie nie lada wyzwaniem, ale mam nadzieję, że mi się uda.

Może słyszał pan kiedykolwiek o postaci Vytto Knobbløga? – zapytał go Nick, ale nieomalże wiedział, iż policjant odpowie przecząco.

– Nie.

– Literatura okultyzmu, którą swego czasu się interesowałem, wspominała postać Vytto Knobbløga. Był to norweski malarz, żyjący w latach 1851– 1881 w Bergen. Wspaniały twórca różnych spojrzeń na wschody i zachody słońca. Jason zmarszczył brwi i popatrzył z podejrzeniem na Nicka.

– Co to ma wspólnego z twoim ojcem?

– Vytto Knobbløg głęboko wierzył, że będzie w stanie żyć wiecznie. Zmarł w wieku zaledwie trzydziestu lat. Literatura okultyzmu opisuje doświadczenia tego artysty. Przed śmiercią, jego dusza zdołała przedostać się do jednego z obrazów, które namalował.

Popogrzebie, w każdym domu, gdzie był zawieszony obraz, działy się dantejskie sceny. Mieszkańcy uważali, że widują w nocy ducha. Talerze lądowały na ziemi, strawa unosiła się wysoko w powietrzu. Krótco po śmierci artysty doszło do tajemniczego zniknięcia i brutalnego morderstwa siostry tego malarza. Poharatane nożem zwłoki kobiety, z wbitym

w czaszkę pędzlem, odnaleziono kilka dni później w szopie sąsiada Knobbłøga, przykryte świeżym sianem – opowiadał z przejęciem Nick, a Jason słuchał tych niesamowitych rzeczy, blednąc z każdą, upływającą minutą.

– Po co zatem te znaki na murach?

– Siostra Knobbłøga pisała amatorsko wiersze. Była bardzo utalentowaną kobietą. Literatura okultyzmu podaje niezaprzeczalny dowód, że w jakiś nieznany sposób, malarz odnalazł połączenie ze światem żywych poprzez swego rodzaju aktywność poszczególnych słów – stwierdził Nick, ale Jason tym bardziej nic nie rozumiał z jego mowy. – Aktywność poszczególnych słów? Nie rozumiem.

– Wykorzystując potęgę „tamtej strony”, mógł wpływać na poszczególne słowa z wierszy swojej siostry do otwierania bramy, między światem swojej twórczości, a światem żywych i cielesnych. Nie wiem na jakiej to zasadzie działało. Niektóre słowa z wierszy siostry Knobbłøga aktywowały możliwość przechodzenia między światami. Mógł po prostu wyjść z obrazu, zabić kogoś i wrócić, bez żadnych konsekwencji – Nick starał się formułować zdania tak prosto, jak tylko można było, aż Clowe zrozumiał. – Czyli te hashtagi, które malowałeś, nie są zwykłymi,

nic nieznaczącymi znakami?

– Tak, niestety. One, podobnie jak słowa z wierszy siostry Knobbølga, mogą umożliwić mojemu ojcu podróżowanie między światem swojej własnej twórczości, a naszym, złożonym z istot czujących i cielesnych – odparł ze smutkiem Nick.

– Czy znasz kolejny cel swojego ojca? – zapytał Jason, czując jak jego czoło jest mokre. Nie wiedział, czy to coraz bardziej nasilający się deszcz, czy pot.

– Tak. Richard Sharesmayer chce zabić ostatnią ofiarę. Zgodnie z jego wiarą, przywróci mu ona ludzką duszę i będzie mógł żyć jak każdy z nas. Czy wie pan, co to oznacza? – zapytał Nick, a Jason doskonale to sobie wyobrażał.

Strach, terror i groza. Istota z zaświatów, która powróciła do świata żywych. Upadek religii. Nadejście piekła i szatana.

– Wiesz, kto będzie jego ofiarą?

– Niejaki Patrick George Carbisian, wiem, gdzie mieszka – stwierdził bez namysłu Nick.

– Ostatnie pytanie, równie dziwne jak ta historia. Czy Richarda Sharesmayera da się jakoś

powstrzymać? – No cóż. Nie jestem do końca pewien. W literaturze okultyzmu, w przypadku Vytto Knobbłøga była taka możliwość – odpowiedział mu Nick, ale Jason domagał się szerszej wypowiedzi. – Podobno malarz na zawsze opuścił dom w Bergen i świat cielesnych, gdy, chcąc zamordować swojego brata, ten przewrócił się o naftową lampę i niechcący podpalił obraz, z którego Knobbłøg wyszedł. Widząc pożar swojego dzieła, dusza artysty rozplynęła się w powietrzu, przy akompaniamencie wrzasków i jęków.

Clowe nie dowierzał własnym uszom. Czuł się jak słuchacz audycji o zjawiskach paranormalnych. Brakowało jedynie zapewnienia prezentera o niemożliwości sprawdzenia się podobnych rzeczy w świecie realnym.

– Wiesz, że pójdziesz do paki, jeśli to wszystko jest wymyśloną bajeczką? – zapytał Jason z wyrazem twarzy, którego nie powstydzilby się najbardziej nieopanowany, psychopatyczny morderca. Nick pokiwał głową i poszedł za Jasonem do jego samochodu. Jadąc na miejsce, partner Sandozy wytłumaczył mu, w możliwie najbardziej przyswajalnej wersji całą sprawę Richarda Sharesmayera.

## 13

Malarz zdołał przedostać się przez obraz do domu Patricka George'a Carbisana.

Ciemne wnętrze, zabudowane czekoladową boazerią i sosnową klepką, stanowiło idealne miejsce dla Sharesmayera. Co gnojku? Wykorzystałem całą swoją moc i udało mi się, już nie potrzebuje twojej pomocy, pomyślał Richard, kierując swoją błądą, mizerną sylwetkę w stronę sypialni Carbisana. Nic mu nie mogło przeszkodzić w realizacji planów. Już nieomalże czuł, jaka trwoga spotka tego człowieka. Gdy zdobędzie jego duszę, znowu powróci. Nie będzie jedynie częścią obrazu.

Ponownie stanie w chwale, pośród żywych i cielesnych istot. Wtedy? Wtedy świat zmieni się tak, jak powinien. Będzie jego sceną, a on artystą, pociągającym za sznurki ludzkości.

Powolnym krokiem zmierzał wciąż do sypialni Carbisana. Czuł się dziwnie osłabiony. Bez hashtagów nie miał zbyt wielkiej mocy. Musiał załatwić tego człowieka bez większego starania. Gdy już stanął w progu sypialni Carbisana, usłyszał trzask wyłamywanych drzwi.



Obejrzał się w ich stronę. W progu zauważył dwóch mężczyzn, a za nimi swojego syna. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

– Teraz, teraz, rzucaj! – krzyknął Jason do Sandozy, który rzucił w kierunku obrazu białą szmatkę, podpaloną i nasączoną wcześniej benzyną. *Wschód słońca* Richarda Sharesmayera stanął w płomieniach. Malarz zaczął bezsilnie krzyczeć, chociaż usłyszał to jedynie Nick. Coraz bardziej osłabiony i blady, próbował podchodzić bliżej obrazu, ale tracił moc z każdą, upływającą minutą.

– Żegnaj, ojcze – powiedział Nick z niespotykanym spokojem, jak gdyby był malutką, skalną wysepką, nie bojącą się ogromnych, morskich fal, z najeżonymi grzbietami, uderzającymi weń z siłą bata. Richard zniknął, rozpląnął się w powietrzu.

Z sypialni wbiegł do pokoju Carbisana, domagając się wyjaśnienia, co się dzieje.

Pulchny, czarnoskóry mężczyzna, z krótkimi, kruczoczarnymi włosami, szerokimi ustami, ubrany w zieloną, satynową piżamę. Patrzył, jak obraz zawieszony na ścianie płonie coraz to słabszym ogniem.

– Wszystko panu wyjaśnimy, panie Carbisane – odpowiedział ze spokojem Sandoza, obserwując palące się dzieło.

## 14

Nick Sharesmayer przyznał się do zabójstwa Edwarda Brocksona oraz współudziału w paranormalnych planach swojego ojca.

Dzięki współpracy z policją, został skazany na kilkadziesiąt godzin prac społecznych, unikając jednocześnie więzienia. Sędziowie jednogłośnie ustalili, że młody człowiek przeżył wystarczająco złych chwil w swoim życiu przez patologicznych rodziców. Udostępniono mu nieduże lokum na obrzeżach Ogden, gdzie miał ciepłe, duże i przytulne łóżko, a także zobowiązano go do uczęszczania na zajęcia resocjalizacyjne w poradni psychologicznej.

Jason Clowe wręczył mu nieduży liścik gratulacyjny, w którym podziękował za współpracę i ocalenie przed złowieszczą śmiercią Patricka George'a Carbisana.

Ów czarnoskóry mężczyzna bardzo zaprzyjaźnił się z Nickiem i oferował mu pracę, gdy tylko skończy wyrabiać przymusowe godziny prac społecznych.

Sharesmayer zapamiętał pewien fragment,

napisany w liściku gratulacyjnym Clowe'a.

**Śmieję się, baw, dziękuję za wszystko,  
co masz. Każdy dzień będzie ci  
przynosił dalsze nagrody.<sup>6</sup>**

Pewnego dnia, przechodząc obok galerii sztuki w Ogden, przystanął przy jednym z obrazów. Był to pejzaż, przedstawiający nadmorski zachód słońca.

Nick poczuł dziwne ciepło. Wydawało mu się, że na horyzoncie owego obrazu widzi twarz swojego ojca – zniesmaczoną, smutną, wykrzywioną w bliżej nieokreślonym grymasie.

Potrząsnął głową i odwrócił swój wzrok od obrazu.

– To już przeszłość – powiedział do siebie ledwie słyszalnym głosem i pomknął dalej, wzdłuż ulicy.

---

<sup>6</sup> Robin S. Sharma, *Mnich, który sprzedał swoje ferrari*

## POSŁOWIE

W literaturze okultystycznej (tak jak i w każdej, innej) nie znajdziecie osoby Vytto Knobbløga. Jest to w pełni wytwór mojej wyobraźni, postać zdecydowanie fikcyjna.

Pasjonaci norweskiego malarstwa mogą odnaleźć w osobie Knobbløga niejakiego Hansa Dahla, autentycznego, skandynawskiego pejzażystę, żyjącego w latach 1849-1937. Prezentował także norweskie fiordy i romantyczne sceny figuralne, koncentrując się również na „oddawaniu” realizmu kształtów młodych i pięknych kobiet.

W norweskim malarstwie pejzażowym wielkimi literami zapisali się jeszcze Adelsteen Normann, który, gdyby nie pandemia grypy hiszpanki w 1918, żyłby jeszcze dużo dłużej, niż siedemdziesiąt lat oraz Fritz Thaulow – malujący pejzaże zimowe o subtelnej gamie kolorystycznej.